

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 1 lipca 1843.

Rok czwarty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 zlr. 15 kr.; catorocznie 10 zlr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301., we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 18 czerwca 1843.

Stroje damskie. W tej chwili panuje w tutejszych pracowniach ruch taki jakbyśmy byli w początkach kwietnia. Prawda że piękna, pogodna pora kazala długo na siebie oczekiwać, i niemożna było liczyć na bliskie jej przyjście, z tych niewielu dni pogodnych/przerwanych slotą, które ją poprzedziły. Przecież już raz nadeszła, a pierwsze artystki tutejsze przygotowały na nią mnóstwo sukien białych z basty, z bareżu letniego i z tarlatany. Mają one formę pięknego podwłośnika wyłożonego *à la vierge*; stanik u jednych bywa marszczony z góry aż do przepaski, rękawy buchaste, spodnica ozdobiona trzema ukosami średniej wielkości lub też dwoma dużymi i pływającymi; u innych stanik obcisły, plecki marszczone w rurki lub w sposobie wachlarzyka, przepaska z wstążek z długimi końcami, spodnica ozdobiona ukosami lub wolantami ponad któremi przegródka z wstążki marszczonej.

Korunkowe ozdoby nabierają z każdym dniem coraz więcej wziętości, i to charakteryzuje właśnie terazniejsze stroje. Używane są zarówno do tych zachwycających kapotek i kapeluszków jakimi się dziś stroją piękne głowy. Alboż nie jest to pełna wdzięku prostota, te trzy lub cztery rzędy korunek ułożone tak nadobnie u skrzydełek kapelusza średniej wielkości, podniesionego nieco, i z główką trochę zadartą. Pochwalmy wreszcie, bo je cały świat chwali, te kapotki morowe ozdobione plecionką trzech wstążek z gazy marabu, oraz kapotki z gładkiej krepy tak doskonale uzupełnionej pewnym rodzajem kitki z kłosów ryżowych zmieszanych z kwiatami, dobranymi do koloru krepy.

Zasłony i półzasłony również są bardzo poszukiwane.

Do mantyl i rańtuchów, któreśmy w przeszłych numerach dziennika szeroko opisywali, dodać można jako strój modny i wielce lubiony redyngocik z krótkimi rękawami. Staniki u nich bywają zwykle obcisłe albo przynajmniej plecki są obcisłe, a przodek w fałdiki. Mają one wdzięk niepospolity. Do takiego redyngocika bierze się zwykle kapotka z materii przezroczystej i rańtuch algijski. Ponieważ do redyngotów takich służą zazwyczaj rękawiczki krótkie, przeto reszta ręki zdobi się suto naramnikami.

Do przedpołudniowej przechadzki służy najlepiej suknia wpółwygorsowana z fularu szkockiego z stanikiem obcisłym, ozdobionym bertą takążę samą; z rękawami jednostajnymi, ze spodnicą wreszcie, dwoma bardzo wysokimi wolantami ozdobioną; kapelusz ryżowy.

Rycina przedstawia: suknię ślubną tiulową. Druga: szlafrok grogenowy, stanik na guziczki spięty, na przodzie i u dołu z trzema falbanami, kapelusz ryżowy. Trzecia suknia *chiné*, stanik marszczony, wysoki, z podwójną spodnicą; kapelusz biały jedwabny z piórami. Czwarta: szlafroczek jedwabny z odwinieciem połami i otwartym stanikiem, kołnierz bekieszowy; kapelusz biały, girlandą z róż ubrany.

Stroje męskie. W strojach męskich postrzegać się daje to, że kłapy wyłożone szeroko coraz się więcej podobają i od nich zawiśła forma kołnierza. Chociaż przy karku kołnierz, szerszą lub węższą będzie miał formę (jak wysokość szyi wymaga), jednakże wyłożenie z przodu równa się kłapom.

Przy takiej formie, kołnierz do wszycia powinien być ile możności prosty, tak, ażeby kłapy, jakoby odniechcenia mniej lub więcej się wykładały.

Rycina przedstawia: frak od przechadzki, z kłapami, które mają dziewięć centymetrów szerokości.

REZYDENT.

OBRAZ.

Dokończenie.

Nigdy mi tak żywo smutny los rezydenta nie stanął przed oczy jak kiedy po raz pierwszy przyjechawszy na szerokie Podola łany poznałem pana rotmistrza. Po okolicznych bywając dworach i dworkach, z ust niemal wszystkich w każdej rozmowie słyszałem o panu rotmistrzu: wczoraj był rotmistrz! przed godziną wyjechał rotmistrz! powiedział mi rotmistrz! u mnie był na obiedzie! córce naszej winał urodzin itd; głosiły piękne usta wdów, mężatek i panien, powtarzali mężowie, kochankowie i przyjaciele; nasłuchawszy się dowoli o rotmistrzu, którego nigdzie schwytać nie mogłem, zaczynałem już wierzyć, że w tej okolicy grają w rotmistrza jak gdzieindziej w zielone; ale gdy mi pani Chrzaszczową, najprawdziwsza bajka w okolicy, powiedziała i zaręczyła — jakem żywa! a trzeba wiedzieć, że żywa już od lat przeszło pięćdziesiąt, chociaż zapewnia, że się rodziła w sam dzień bitwy pod Dreznem, gdzie jej ojciec miał zaszczyt zginąć; gdy mi tedy ta zacna pani zaręczyła że rotmistrz żyje istotnie, różne zacząłem w myśli mej wyrabiać o nim obrazki.... Aż nareszcie było dzień wielki dla mnie, bo byłem zaproszony na obiad do pana Dyzmy Płateckiego największego w okolicy polityka, literata, a co więcej posiadacza czystej wioski; przyjechałem pełen nadziei widzenia rotmistrza, który zwykle pilnował imienin; zastałem znajome już towarzystwo, wszystko było na miejscu, i nos nad nosy gospodarza, i garb nad garby pani Płateckiej, i pani z pod Drezn. Szukam pomiędzy frakami; niema rotmistrza, bo już ciż w dzień tak uroczysty, wyznajcie łaskawi czytelnicy, że spodziewacie się widzieć dołman huzarski, kurtkę ulańską, a przynajmniej półfraczek lekkiej jazdy; stanąłem, trzeba bowiem w salonie gdzieś stanąć, między panią Parnicką wdową, pełną zaszanowanych wdzięków, a panną Pelagią Irzecką pełną wdzięków spodziewanych; żałowałem tylko że gdy tamtych już nie widzę, tych dostrzedz jeszcze nie mogę: wtem ozwał się elegijny dyszkan-cik panny Peluni — rotmistrz jedzie; z całą układnością, godną zacnego towarzystwa w jakim się znajdowałem, czekałem z oczami w drzwi wlepionymi, choć niecierpliwe nogi na ganek mnie pędziły.

Głuchy łoskot po podłodze wchodowego ozwał się pokoiku, i wszedł.... Na dwóch kulach oparty, starzec łysy, siwy, połamany, w białym żupanie i niebieskim kontuszu; a przez plecy zawieszona była czerwona wstęga orderu ś. Stanisława; stuknął kulami, brzęknął

karabelą w wytarty jaszczur oprawną, i stanął; nie witał ukłonem, bo mu trudno już było niżej się pochylić, ale ręką pozdrowił towarzystwo, które na różne grona rozłamane, przywitało go nawzajem, u przejmami wyrazami po wierchu, a chychotami wielkimi pokrywom; posztuchował rotmistrz do kobiet prosto; nuż całować piękne rączki, a zwijając się pomiędzy panny i mężatki, jakby śniegiem, siwym włosem posypał po parterze kwiatów.

— Jak się masz rotmistrzu?... Zapomniałeś o nas!... Niestały z ciebie kochanek!.. Mnieto, mnie sprzeniewierzyłeś się! zagadały wiosna, lato, a nawet i jesień.

— Ha! co zaś? odpowiedziała zima; co zaś powiadasz?...

— A one mu w ucho krzyczą: kochany rotmistrzu! stęskniłyśmy za tobą; a poza ucho do siebie: Jaki nudziarz stary!... Biedny rotmistrz jest głuchy!...

— Jaka ty piękna dziś! jak róża! wszystkieście świeże jak kwiatki! a postrojone zaś! gadał do nich w dobrej wierze. Peluniu pocałuj mnie!...

— Fi! rotmistrzu! fi! gadać takie rzeczy!...

— Co? figi! gdzie zaś figi?... Śmieją się coraz głośniej i weselej.

— Chyba rotmistrz Peluni zapisze, jak Karolci, za jeden całus dwa tysiące....

— Jaktó zaś? zające w lecie!...

— Nudny głuchman! rzekła basem wdowa.

— *Comme une taupe!* zadowcipkowała Pelunia.

— Kto się zaś utopił?...

— Pan Misiurski z miłości! krzyknęła głosem trąby ostatecznej garbata gospodyni.

— Co zaś! ten dziad, starszy odemnie? i kiedy?...

— Pozawczoraj! dodała wdowa, śmiejąc się z dowcipnej mistyfikacji.

— A któż był zaś powodem?...

— Oczywiście pani Ściżewska; znasz przecie rotmistrzu jej zalotność....

— No! no! jakże się zdziwi pani Łykowska; będę jutro uniej, bo mi mówił xiądz gwardian, że strasznie zaś chora na oczy: bo to zaś jej ojciec miał za sobą Witowskę, ją zaś rodzi Liczyńska, która była *primo voto* za stryjem nieboszczyka Misiurskiego; byliśmy zaś w kuzynostwie, bo matka jego była pierwej za ojcem mojej bratowej, marszałkowej Przeorelskiej; mam zaś od niej list z Owruca, pisany wykintnym stylem, i z prawdziwym afektem kuzyńskim.

— Śmieją się do rozpuku!... Czego śmiejecie się?... Żal mi się starca zrobiło, i serce mi się ścisnęło patrząc na te siwe włosy w poniewierce; poszedłem do

grona mężczyzn. Biedny starzec! odezwałem się do pana Czubickiego, który miewał zawsze łzawe oko, gdy rozpowiadano o tkliwym zdarzeniu jakim.

— Głupi, nudny starzec! powiedz pan; jak można żyć tak długo: pan go nie zna, to plotka okoliczna; roznosi z domu do domu bajki; niedosłyszysz, a więc tworzy dziwolagi...

— A ciekawy! dodał młody Dubiewski; ciekawszy od naszej Chrzaszczowej...

— Przytem niebezpieczny gość przerwał pan Czułkowski, sławny brudnem skąpstwem, jak zwykle parweniusz, mówią herbowne sąsiedzi; rozbójnik na otwarte cukierniczki, pudzera z herbatą, puszki z tytoniem, stambułki...

— Przeżył się! zagadł gospodarz poważnie zażywając tabaki; czy godziło się żyć, przeszło sto lat już, mając obie nogi i jedną rękę połamane.

Rozgniewany porzuciłem mężczyzn, i wpadłem na niezmordowaną Chrzaszczową. Coż rotmistrz?...

— Ale dla czegoż żartujecie panie tak nielitościwie z biednego staruszka?...

— Coż z nim robić? inaczej zanudziłby na śmierć; a wszędzie go pełno; w kalendarzu ma zapisane wszystkie urodziny i imieniny; jeździ za kurzącym kominem; objada, okrada, obmawia!... nie godzi się wypchać starca za drzwi, ale jakim żywa pożartować się godzi!...

Po obiedzie na którym rotmistrz przypomniał mi pocziwego skarbnika apetytem zazdrości godnym; po obiedzie o którym jak o Ryczywole zamilczeć wolę, a który przecie rotmistrz co chwila wynosił pod niebiosa: zaś wyborna! jaki zaś twój kucharz doskonały! to mi zaś artysta! nastąpiła kawa, balsamiczna, podług rotmistrza; i zapewne miała gęstość i woń balsamu dobrego do smarowania, ale nie czystość bursztynu, a gęstość miodowego płynu; a po kawie zaprezentowałem się rotmistrzowi pełen uszanowania dla jego wieku i siwych włosów, pełen politowania nad stanem jego. Niestety czemuż nie patrzałem nań zdala przez szkło własnych marzeń, wzbudzonych na widok tej starej, połamanej kolumny! myślałbym wynalazł brakujące jej rzeźby, ozdoby, kapitel, i ustawił w świątyni, gdzie leżą pamiątki nasze, ciche jak groby i wymowne jak groby!... Znudził mnie, jakbym się najadł lukrecii, nawąchał asafety; znał mnie już doskonale, znał mnie lepiej niż się sam znać mogłem, lepiej niż mnie wrogi moje znają; znał moją rodzinę, z ojcem gdzieś tam jadał, z matką tańcował, do ciotek się umizgał, kogoś tam z moich krewnych żenił, ochrzcił innego, a pochował tych wszystkich którzy tylko byli już pochowani; przytem

chwalił ród mój, urodę, rozum, dowcip, kadził jak gdybym już leżał na marach; czułem obrzydzenie jakbym się przepił: i nic w tej rozmowie, by jedna łyskawica któraby złotą nitką odświeżyła jednostajność ciemnej chmury; by jedna anegdota, jedna z tylu lat, które przeżył, z tylu chrztów, ślubów i pogrzebów. Dotknąłem sam tej struny, czekałem nadaremnie odźwięku; czy niezgrabna ręka, czy instrument zfałszowany! zamiast nuty dawnej, tęsknej, nuty barskiej usłyszałem pisk codziennej, ulicznej nuty sprzedającego prece: a ten człowiek przecie rotmistrzował z Puławskim jeszcze, z rąk ostatniego króla odebrał czerwoną wstęgę; pamięć młodzieńczą chował na plotki, które po okolicy przedawał za obiady, cukier, herbatę, krupki i mąkę zdobywane kwestą lub przemysłem. Zchwycił mnie jak w kleszcze w pytania któremi ciśnął mnie nielitościwie; napróżno wywijałem się połapaną tu i owdzie znajomością świata; czy kocham i kogo kocham? czemu się nie żenie? że ma partię dla mnie! itd; uciekłem, a ochłoniwszy przy wisku, którego na wsi grają tanio, szkaradnie i krzykliwie, wróciłem do sali bawialnej. W gronie kobiet siedział stary, jak lodowiec nieruchomy; zbliżając się myślałem że się patrzy na mnie, lecz jakież było zdziwienie moje gdym dosłyszał jak wymieniwszy nazwisko moje przemówił do wdowej. Znam go z reputacji, ma romans z mężatką!...

— Otoż nadchodzi! szepnęła mu wdowa.

— Tak, tak nie godzi się zaś! odpowiedział... i ślepy i głuchy!...

Poszliśmy na herbatę do innego pokoju, tam na ścianie wisiał portret pana Suliskiego, przyjaciela naszego amfitriona, w mundurze; byłato pierwsza i nieśmiała próba córki, nie zła nawet: naadmirowaliśmy się do woli, nagadali ogólników aż strach. Cożto zaś za mundur? zapytał rotmistrz Suliskiego.

— Polski! mundur który nosilem; odpowiedział pan Suliski człowiek w sile wieku.

— Jako zaś polski? a to chyba przedemną służyłeś!... parsknęli wszyscy ze śmiechu, on sam pozostał nieruchomy i powtarzał ciągle; bo zemną zaś nie byłeś!...

Rozjechaliśmy się; mimo niesmaku jaki wzbudził rotmistrz we mnie, zapuszczałem się nieraz z nim w rozmowę, nie żałując trudu chciałem coś ciekawego wyślabizować z tej starej kroniki, lecz zadanie nie było łatwe, bo się lat swych jak grzechu wstydził, o przyszłości dalekiej nie wspominał nigdy; czasem tylko zgrabnemi zawikłany pytaniami przemówił datami, ale datami tak dawnymi, że aż zadrzałem, bo się zarówno drzy przed zmrokiem przeszłości jak i przed

zorzą przyszłości. Jam mniemał, że ta przeszłość o której wspominał dawno już popiołem rozsypana, a ona wyszczerzyła mi się żywajak widmo jakie z oczu zapadłych tego dziada; znowu mimowolnie szanować mi się go chciało. Później dopiero ochłonawszy i z gorączki marzeń i dreszczy odczarowania, gdy zebrał wszystkie ułamki przez niego i drugih opowiadane, chociaż dawny jego żywot pozostał tajemnicą, poznałem w nim typ rezydenta. Rezydentem był on i dawniej, *per fas et nefas* zebrał mająteczek; szkoda że rezydenci nie piszą pamiętników, wszak dotąd ulubione są pamiętniki, dzięki którym nie jedna uczona utrzymuje się rozmowa; byłoby to źródło dla powieściarzy dzisiejszych, którzy domowe obrabiają zdarzenia: nie jedną genealogię, czystą jak stary pergamin, przekrzyżował romans rezydenta zaczęty w ciichej zamkowej komnacie, skończony może w tajniach podzamkowych, albo w jasyrze pogańskim. Rotmistrz musiał być przystojny mężczyzna, tak przynajmniej z uśmiechem wiele znaczącym sam mówi o sobie. Gdzie był rezydentem? z kąd kapitaliki które posiadał? nie dowiedziałem się nigdy; przyzwyczajony do życia rezydenta przechodził wszystkie stany tego koleje; pił po sasku, bił się po polsku, szwargotał po francusku, aż na końcu tracąc, barwa po barwie, z barwy rodzinnej, nabierając odcień po odcieniu potrzebne mu zarysy, dzisiejszemu rezydentowi właściwe, stał się z rezydenta dawnego rezydentem koczowniczym, roznoszącym plotki, chwalcym to dzisiaj co jutro o miłe dalej ganić będzie. Nie potępiajmy go! nie on się zepsuł ale wkoło niego wszystko się popsuło; wierny nam towarzysz, dziś zbyteczny, wnet go wykurzym kwaśną miną, przytykiem, złym humorem; chwilowej plotce damy obiad, za uncję kadzidla, gdyby nawet kadzielnica w nos dostać, kilka dni popasie!...

Nigdy powtarzam nie uczulem tak mocno upadek stanu rezydenta, jak gdy głębiej zajrzałem w tajnie życia rotmistrzowskiego; i śmiało powiedzieć mogę, że to jeszcze ostatni rezydent na ziemi naszej! Może przed śmiercią zagada dawnym językiem? Będzie to pierwszy zgubiony tom żywota będącego przy tomie ostatnim. I gdzież dzisiejszy mieszka rezydent? wszędzie i nigdzie, na dyszlu jak powiadają. Stary rotmistrz rozposażwszy nie najlepiej kapitały swoje, ostatni fundusz oddał wnukowi swego przyjaciela *à fonds perdu*; ma za to chatę, ordynarię, i procent w transakcji obserwowany, ale nigdy nie wypłacany, bo wnuk przyjaciela od marca do marca czeka na śmierć dożywotnika; lecz rotmistrz ani myśli umierać; jeździ ciągle, ledwie zajrzy do chaty w której prócz ścian lepionych nie wiele znajdziesz sprzętów.

Są godziny w których siedzi samotny, trzyma nogę na szkatulce, w której leżą korespondencje dawne, i sto rubli na pogrzeb schowanych, i duma, smutnemi oczyma patrząc na wiszące po ścianach sylwetek parę, i cyfer kilka, własnych i cudzych, jedwabiem i włosami haftowanych. Gdyby te marzenia po dymie lulki ulatujące stanęły raptem żywe i przemówiły, napisałbym państwu ciekawe pamiętniki ostatniego rezydenta...

Kilka dni temu byłem u pana Płateckiego. A wiesz też pan, rzekł do mnie, że nasz rotmistrz żeni się....

— Czy podobna?...

— Oświadczył się uroczyście pani Parnickiej którą kochał, jak twierdzi, nim jeszcze poszła za nieboszczyka męża, i pewien swego, prosił ją tylko by to zostało w sekrecie, bo w takich rzeczach ludzie zwykle robią intrygi.

— Kiedyż wesele?...

— Jedzie w przód do Pryśnica, bo jak mówi: mnie zaś nic nie brakuje, tylko te nogi niestatkują... Wyznam państwu na dokończenie, że ciekawa byłaby to rzecz widzieć, jak będzie wyglądał towarzysz starego Puławskiego, pocący cię w kocach pryśnicowskich.

— Czy też powróci?...

— I czy się też ożeni?...

— I czy będzie miał dzieci? naiwnie dodała piękna Pelunia...

Bolesła.

Wystawa obrazów w Paryżu,

r. 1843.

Tegoroczna wystawa obrazów w Paryżu zajmuje powszechną uwagę. Pokoje Luwru przepelnione ciekawymi. »Na mnie — pisze korespondent paryski; widok tych sławionych utworów dziwne uczynił wrażenie. Na próżno się biedzę ten chaos najdziwniejszej pstrocinny pewnym ładem poukładać w duchu, próżno w nim śledzę przodkującej myśli; próżno w równorodnych odcieniach barw i przedmiotów, badam odbłyśku lica teraźniejszości. Toż wszystkie utwory pewnego czasu mają zarys szczególny, który je od płodów innego czasu wybitnie odznacza, mają właściwe piętno ducha czasu. Tak np. z płótna pp. Watteaux, Boucher, Wanloo wdzieczy się urocze, wypudrowane sielankowe życie, wyróżzowana, pieśczołna lubieżność, słodziuchne spodniczkowe szczęście pompaduryzmu; wszędzie jasnobarwe, wstęgami strojne laski pasterskie: miecza tam nieujrzysz nigdzie! Przeciwnie w obrazach Dawida i jego uczniów barwami tęczy jaśnieją republikańskie cnoty, i szorstkie

lice wojennej sławy cesarstwa wзира z pod ciemnych barw poprawnego pęzla. Po jakichże znamionach pozna potomność utwory naszego czasu? Jakim poglądem zbada w utworach dzisiejszej doby twórczą myśl wieku? Czy duch mieszczaństwa i przemysłowości, który całe społeczne życie Francji przenika, istotnie już i umnictwo owładnął, że dzisiejszym obrazom wycisnął jałowe piętno swego panowania. Obrazy świętych, najliczniejsze w tegorocznej wystawie upoważniają przedewszystkiem do tego mniemania. W wielkim salonie ustawiano biczowanie; naczelną osobą z cierpiącym obliczem wygląda w tym obrazie jak przełożony podupadłego towarzystwa akcjonariuszów, stojący w obec swoich spółników, którzy się domagają, żeby im sprawę zdał z czynności swoich; ci nawet są tam wyobrażeni w postaci faryzeuszów i posiepaków; z ich gniewnego oblicza wyczytasz do razu, że im żal pieniędzy w spekulacji straconych. Twarze osób historycznych z czasów przedchrześcijańskich i średniego wieku wyznamięnia także wyraz ducha spekulacji, kramarstwa i przemysłowości. Ujrzyś tam Wilhelma zdobywcę, któremu jeno czapki niedźwiedziej nie staje, abyś w nim poznał potulnego szeregowca gwardii narodowej, co z wzorową służbistością straż odbywa, długi rzetelnie wypłaca, żonę szanuje i pewnie z czasem wysłuży sobie krzyż legii honorowej. Ależ portrety, portrety! tyle mają pięknego, samolubnego wyrazu; tyle zręczności w pojedynczych rysach, że się zdaje, jakoby żywy oryginał w chwilach posiedzeń ciągle dumał o pieniądzach, które za portret zapłaci, a malarz żałował czasu strwoniętego marną pracą dla marnego zarobku.

Z pośród mężów głośnego imienia tylko Horacy Wernet przysłał obraz jeden na wystawę. Przedstawia on Judę i jego pasierbicę Tamar. Tamar siedzi przy drodze publicznej i tam odkrywa swoje najbujniejsze wdzięki. Nogi, kolana, uda itd. są oddane z doskonałością jaką chyba poezja utworzyć zdoła. Piers wygląda z ciasnego opięcia tak świeża, tak wabna, jak zakazany owoc rajskiego ogrodu. Prawą ręką mistrzowskiego wykończenia osłania sobie dziewica rąbkiem białej szaty twarz, że tylko czoło i oczy widzialne. Oczy też, wielkie, czarne oczy, płoną żarem piekła, i pozierają szatańską pokusą. Tamar jest wraz i jabłkiem i wężem, i niepowinniśmy potępiać biednego Judę, że jej tak skwapliwie podaje żądane dary: łaskę, pierścień i przepaskę. Wyciągnęła po nie lewą rękę, prawą twarz sobie słoniąc: to podwójne poruszenie rąk, z taką wykonane prawdziwością, jaką umnictwo tylko w najszcześliwszych chwilach natchnienia wydać zdoła. Jestto urocze, prawdziwie ludzające udanie

rzeczywistości. W twarzy Judy wyraził artysta pożądlivość, która widzowi raczej Fauna, niż patriarchę na myśl przywodzi, a ubiór jego stanowi biała welniana opona, która od czasu zajęcia Algieru w wielu obrazach francuskich celuje. Odtąd Francuzi bliżej się ze wschodem zapoznali, malarze bohaterom biblijnym ubiory prawdziwie wschodnie nadają. Nawet kraj-obrazy i zwierzęta wschodnich krajów przedstawiają Francuzi odtąd z większą prawdziwością, i po wielbłdzie Werneta w obrazie tym widać, że z żywego wzięty wzoru, bez przysady, bez pochlebstwa, wielbłd taki, jak go pan bóg stworzył. Wyciągając szyję ponad biodra Judy, z najzimniejszą obojętnością przypatruje on się odkrytem wdziałom Tamary i ponętnemu targowi. Tato obojętność jest głównem, wybitnem znamieniem obrazu Werneta; i tym odznacza on się jako utwór naszej doby.

Do barw obrazu tego nie mieszał Wernet ani żrącej żółci wolterowskiej satyry, ani brudu, rozwiązłej szkoły Parnego: biblia jest mu powszednią księgą, z której najchętniej wzoruje swoje obrazy. Tak przedstawił Judytę, Rebeke u studni Abrahama z Hagarą, Judę i Tamarę, któreto obrazy Gupil i Wibert wyryli już i na miedzi. Horacy Wernet uchodzi obecnie za najpierwszego malarza we Francji. Jest on niezawodnie jedynym narodowym malarzem francuskim, i wszystkich współzawodników swoich przewyższa nieporównaną, ciągle się odmładniającą siłą twórczości. Malowanie stało mu się potrzebą, przyrodzoną potrzebą tak, jak przedzenie jedwabnikowi, śpiewanie ptakowi, i wszystkie utwory jego wydają się, jak utwory konieczności. Żadnego w nich stylu, ale najuludniejsze wzorowanie natury. Płodność pęzla jego na śmieszność zarywa. Karykatura przedstawiła Werneta, jak wzdłuż rozwieszonego, ogromnie długiego płótna, jedzie na wysokim koniu z pędem w rękę, i czwałując maluje. Jakieżto mnóstwo olbrzymich wojennych obrazów wypracował on do Wersalu! Niejeden z związał panujących niema tylu żołnierzy w swych krajach, ilu ich Wernet już namalował.

Karol L.

O apologiach i krytyce tragedii

S T A S I O.

Dwa razy przedstawiona już na scenie naszej tragedii Stasio wywołała rozmaite sądy. Zdanie swe o niej ogłosił w przeszłym numerze dziennika Leszek Dunin Borkowski, pisarz utalentowany i ceniony, a ogłosił tak jak wszelkie zdanie o sztuce ogłaszać się

powinno: z podpisem swoim całkowitym, co już samo świadczyć może o prawości jego postępowania i czyni go wolnym od zarzutu jakowejkolwiek osobistości. Sąd o dziele czyto przyjazny czy mniej przyjazny, skoro się nieogranicza na ogólnikach, ale wchodzi w szczególności i takowe dowodami popiera, zawsze jest dla autora korzystny. Tak zwane zachęcania jak wszelkie apologie i panegiryki, choćby w najlepszych chęciach pisane, nieprzydatne są na nic, nie skrzesają jeszcze żadnego w świecie talentu, ani mu hartu niedały, owszem rozbechtują one miłość własną i zamiast zaostbrać siły, usypiają je i niweczą. Zdanie przeto znakomitego literata naszego umieszczone w dzienniku, nie będzie zapewne bez skutku. Przeciw Borkowskiemu odezwał się pewien anonim, a zrobił to, jak się zdaje, nie z czystego zamiłowania sztuki. Nad jawność i otwartość w wystąpieniu przeniósł on bezimiennność, która najczęściej osobistościom służy za tarczę, i jakby się jeszcze i za nią niedość zabezpieczonym sądził, dodał, niech temu wierzy kto może, że to artykuł nadesłany. Ależ wejdźmy w treść tego artykułu, maż on istotnie na celu obronę tragedii Stasio? Zbiłże ów bezimiennik dowodami choćby jeden zarzut zrobiony przez L. D-B. tej sztuce, i usprawiedliwił owe na czele położone słowa Herdera, że wydziera wawrzyn szponom zawiści? Bynajmniej. Bezimiennik niechciał lub lub też nie umiał wykazać dowodnie zalet tragedii, a tem samem nieozdobił jej autora żadnym wawrzynem. Znany mi jest talent Szajnohy, cenilem go już wtedy kiedy publiczność jeszcze mało go znała, i zapowiedziałem przedstawienie jego tragedii obok zapowiedzenia dramatu Korzeniowskiego. Jakkolwiek po jej przedstawieniu sąd mój wypadł surowiej, nie myślę jednak żeby na zaletę tej tragedii jedno lub drugie dowodnie powiedzieć się nie dało. Tych jednak zalet w sferze właściwej nie wykazał bezimiennik, a jego pochwały są takie, że im sam autor wierzyć nie zechce. Zdaje się nawet jakby owe gładkobrzmiące słówka z Herdera wziął on tylko za pozor, rozwodzi się bowiem nad rzeczami, które z pomienioną tragedią w żadnym związku nie stoją, ściga więc cele uboczne. Na zarzut wielkiej wagi w recenzii Borkowskiego, że działanie nie jest dość umotywowane i że nieszczęścia w tej sztuce są tego rodzaju iż je przy oględności i rozsądku można bezpiecznie unikać, opowiada on, że od czasów arystotelesowych namiętność jest bijącym źródłem tragedii. Ależ to tylko ogólnik a do tego ogólnik fałszywy. Jeżeli bowiem źródłem tragedii ma być namiętność, toć największymi bohaterami tragedii będą zwierzęta. Tymczasem wiadomo że ludzka namiętność wystawiana

w dobrych tragediach jest zawsze w walce z rozsądkiem, a im silniej objawia się on w tej walce, tem godniejszej czci bohater i tem większy budzi interes. Prócz tego pozornego odparcia zarzutu znajdujemy tu same zboczenia i chwałstwo z którego się autor niczego nie nauczy. Są tu wreszcie takie np. twierdzenia: że miłość jest królową namiętności, a na to zacytowano Szyllera. (Chmielowski Benedykt, autor nieśmiertelny Aten uczonych mówiąc, że się koń wilka boi, zacytował na to Tacyta i Strabona). Dalej że rozsądek jest atrybut potrzebny tylko na jarmarku lub przed sądowniemi kratkami, a na to nikogo niezacytował, jestto więc charakterystyczny wymysł jego głowy. Przez samą życzliwość bliźnią winienem mu oznajmić, że wszelka i najszczytniejsza umiejętność, wszelka wiadomość ludzka, skoro jest tego rodzaju, że się dla niej zdrowego rozsądku rzec trzeba, jest diabła warta, a ludzi choćby tam najuczeńszych, lecz ze zdrowego rozsądku ogołoconych odsyłają do czubków. Rozsądek tedy, w wyższym tylko stopniu, musi być podstawą i najszacowniejszym przymiotem czyto wielkiego estetyka, czy uczonego, umnika lub też artysty, i jakkolwiek go na jarmark nasz bezimiennik wyprawił, wątpię jednak czyby to wziął za chlubę, gdyby kto o jego artykule powiedział: napisany jest nierozsądnie.

A teraz jeszcze słów kilka o rzeczach ubocznych. Prawda że powieść Leszka Dunina Borkowskiego pod napisem Kozak przyjęta była z pobłażaniem; lecz autorowi niezrobiono tem żadnej przysługi. Przeciwnie, długiemto łamaniem się z sobą musiał on zastąpić to co właściwie do krytyków należało, a odrzuciwszy od siebie wszystkie chwałstwa i grzeczności, dopiero mógł nadać polot swemu talentowi i zająć w literaturze to stanowisko, które napróżno kusilby się zaprzeczyć mu wszelki krytyk.

A. Bielowski.

Koncert Felixa Lipińskiego.

Dnia 23 czerwca odegrał pan Felix Lipiński w sali tutejszego towarzystwa muzycznego koncert na skrzypcach. Pomiedzy wirtuozami, którzy w nowszych czasach u nas występowali, pan Felix Lipiński zajmuje bezsprzecznie jedno z pierwszych miejsc, jak to dowodzą sztuki na tym koncercie przezeń odegrane. Znakomity ten artysta odszczególnia się nadzwyczajną biegłością i pewnością w prowadzeniu smyczka, jakoteż w ogóle dzielnem i śmiałem władcą swego trudnego instrumentu. Koncert jego kompozycji z *h* mol, tak melodyjny, tak trudny, tak gruntownie ułożony, wykonany był tak, że nawet najzi-

mniejszego słuchacza mógł unieść w zapał. Ton pełny, jędrny, rodzimy wszędzie, nawet w najwyższych tonach, eolska czystość, śmiałość arpeggiorów i czystość w podwójnych tonach musiały artyście zjednać te huczne i rzesiste oklaski, któremi go znawcy po każdym prawie solo uczcili.

Następne sztuki przekonały dostatecznie każdego słuchacza, że pan Felix Lipiński w wysokim nader stopniu obeznany jest z wszystkimi odcieniami gry na skrzypcach, i że każdą trudność umie podług swej woli pokonać. Na szczególniejszą podziękę zasługuje on jeszcze i za to, że nas ochraniał ile możliwości od tych cudowności i figlów za któremi nowsi przynajmniej wirtuozi skrzypcowi tak skwapliwie i statecznie, jakby za czem dobrem, uganiają się. Oklaski były powszechne i huczne, lubo sala nie była zapełniona, co nas tem więcej zadziwia, gdy teraz wiele obywatelstwa znajduje się w mieście, którzy powinni by to policzyć do najświętszych swych obowiązków, aby artystów tego rzędu co pan Felix Lipiński, wszelkimi w ich mocy będącymi sposobami zachęcać i wspierać, a szczerem i powszechnem udziałem starać się niejako wywdzięczyć się im za tyle bezsennie strawionych nocy nad wydoskonaleniem swego talentu; albowiem ci bez powszechnego udziału i uznania siebie, zmuszeni są nieraz — jak to mamy żywy przykład na najślawniejszym z żyjących teraz naszym wirtuozie, a jego bracie Karolu — z uszczerbkiem sławy swego rodzinnego kraju szukać w obcych stronach nowej ojczyzny dla swego talentu.

Nowości literackie.

Obrazy litewskie przez Ignacego Chodźkę. Seria druga. Tom pierwszy. Wilno, nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego 1843.

Z przyjemnością przypomną tu sobie czytelnicy nasi kilka ładnie, artystowsko skreślonych obrazów litewskich, dawniejszych, i skwapliwie chwycą do ręki Brzegi Wilii (taki bowiem jest szczegółowy napis obrazka w tym tomie). Jestto jednak obrazek najmniej od autora wyposażony, niewielki wprowadzie i co do swej objętości, chociaż mu oficyna pana Zawadzkiego białych stronic i sutych a szerokich przedziałek nie szczędziła. Rys Wilii i Naroczy, podanie o szwedzkim okopie, opis imienin, niewinna pomyłka przeora, i przemówienie się samego autora do Rózi, znanej już czytelnikom z onej majówki, opisanej tak wdzięcznie w Borunach, oto jest treść cała tej książki. Co do opowiadania czujemy w nim ten sam wdzięk co i w da-

wniejszych obrazach, jest ono proste i ujmujące, ale wyznać trzeba, że jak na powieść, brak temu dziełku osnowy, ubóstwo jej stara się autor zastąpić epizodami i ogólnikami od których zaczął i któremi raz wraz opisy swoje przeplata. Jeśli zaś ma to być krajobraz, tedy brakuje mu różnorodności i jednej wydatnej myśli, któraby jego duszę stanowiła. W ogólności rozmiary tego obrazka są drobne, za mało ożywione i niepowiązane. W innej formie miałyby to pisemko wartość pamiątnika, i budziłoby żywy interes w tych którzy w zdarzeniach owych mieli udział; myśl ta zdaje się, że nawet przewodniczyła autorowi w niektórych opisach i w tej mierze może ono budzić interes szczegółowy; ale autor niestarał się, a przynajmniej niepotrafił wznieść się do nadania swemu opowiadaniu interesu powszechnego, którem jedynie obraz jego mógł zostać artystowskim.

Do xiegarn naszych nadeszły właśnie następujące nowe książki.

Reszty rękopismu Jana Chryzostoma na Gosławcach Paska, deputata z powiatu letowskiego na koto rycerskie za króla Michała Korybuta, a pierwszej towarzysza pancernego; z exemplarza, w cesarskiej bibliotece petersburskiej znajdującego się, spisane i wydane przez Stanisława Lachowicza. Wilno 1843. Nie jestto, jakby czytelnik z napisu tego mógł wnosić, reszta owego rękopismu Paska, któren przed kilkoma laty ogłosił drukiem pełen zasługi Edward hrabia Raczyński. Owszem ma tu miłośnik pamiątek tego rodzaju, w ogromnym, przeszło dwadzieścia kilka arkuszy ścisłego druku obejmującym tomie, całego Paska tak jak go sławna niegdyś biblioteka Załuskich przechowywała, a to w autografie, który już był z początku i na końcu uszkodzony i dlatego zatytułowano go resztą rękopismu. Wydanie to ma niezaprzeczoną wyższość nad dawniejszemi, jest zupełniejsze co do tekstu, i godne pochwały z tąd, że wydawca, pozwoliwszy sobie przepolszczać makaronizmy i przytoczenia obcych pisarzy, umieścił jednakże w licznych dopiskach przy każdym miejscu wyrazy oryginału.

Legandy; zebrał x. Hołowiński. Wilno 1843. (str. 144).

Ułana, powieść przez J. I. Kraszewskiego.

Powiatki i obrazki przez J. I. Kraszewskiego.

Pielgrzymki do ziemi świętej przez Hołowińskiego tom trzeci.

Atheneum, pismo poświęcone historii, filozofii, literaturze, sztukom itd; wydawane przez J. I. Kra-

szewskiego. Oddziału drugiego tom piąty i szósty, oraz tom pierwszy oddziału trzeciego.

Biblioteka warszawska z roku 1843; miesiąc maj.

Bliższą wiadomość o niektórych z powyższych książek damy w następnych numerach.

W Warszawie wyszedł niedawno z druku nowy, oryginalny dramat pod napisem: Gra namiętności, przez Kajetana Niepowie (nazwisko, jak się zdaje, zmyślone), który dzienniki krajowe bardzo zachwalają.

Z dzieł Kazimierza Brodzińskiego wyszło dotychczas w Wilnie sześć tomów u Teofila Glücksberga. Następne cztery (bo w dziesięciu tomach były zapowiedziane) pokażą się zapewne niebawem.

W Kijowie w drukarni uniwersytetu ś. Włodzimierza, wyszła komedioopera historyczna wierszem w dwóch aktach przez Karola Heincza, pod napisem: Powrót Zaporozców z Trebizondy. Tamże wyszły nieco wcześniej dwie komedie przez tegoż pod napisem: Młodzież tegoczesna; i Figle ułanów.

Ośmnastego zeszłego miesiąca dotknął mnie cios najboleśniejszy jaki kiedykolwiek mógł dotknąć. Odtąd już nie masz dla mnie nieszczęścia! Rozstał się ze mną jedyny przyjaciel, brat mój. **Józef Dunin-Borkowski** znany powszechnie ze swoich literackich zatrudnień i w kraju i zagranicznym uczonym których posiadał szacunek i miłość. Strata ta jest narodową; nie zaniedbamy zatem zdać z niej dokładną sprawę ojczyźnie, która w nim traci jednego z synów najprzywiązańszych i najświetlejszych. W właściwszem miejscu i w sposobniejszą porę wyliczymy czynności jego i zamiary, jego prace w części wykonane w części rozpoczęte, ażeby w sercach poezciwych zachować wiernie zasłużoną pamięć żywota, mogącego służyć za wzór cnót obywatelskich, za wzór gorliwości i wytrwania w zawodzie literackim. Zaiste żywo obchodzi światłą publiczność człowiek, który się jej z całym wylaniem poświęcał zapomniawszy na samego siebie. Zasługi takie nie mają innych odznaczeń jak żal i wdzięczność współziomków. Na taką nagrodę zasłużył. Nie wątpię że naród sprawiedliwszym będzie od przeznaczenia, które mu wtenczas właśnie ustać kazało, kiedy już niezmordowany pracownik gotów stał z sierpem w ręku, bo żniwo było dojrzałe; a śmierć, chociaż zawczesna, nie nadzieje w nim nasze zawiodła, ale zniszczyła dościgle już owoce. *) Donosząc pobieżnie o tym smutnym wypadku, mam zarazem obowiązek uwiadomić publiczność, iż zapowiedziane przez nieboszczyka *Album* na korzyść pogorzalców rzeszowskich, w rękopismach całkiem zebrane i ułożone, a w wielkiej części nawet już wydrukowane, którego wyjście opóźniła dotychczas długa i uciążliwa choroba opłakiwanego przez nas wydawcy, najdalej do trzech miesięcy zupełnie gotowym i rozdany zostanie. Spis prenumeratorów zasląłem w porządku, a dokończając wydanie, starać się będę zachować we wszystkim znamiona i układ, jakie chciał nadać tej książce świętej pamięci nieodżałowany brat mój.

Leszek Dunin-Borkowski.

*) Czujemy obowiązek oznajmić przy tej sposobności iż tenże sp. Józef Dunin-Borkowski był jednym z pierwszych którzy wsparli nasze przedsiębiorstwo i niejedną stronicę dziennika naszego pismami smemi ozdobił.

Przyp. redakcii.

Tym numerem rozpoczęło się drugie półrocze dziennika. Redakcja będzie się starać i w tem półroczu równie o dobroć, interesowność i rozmaitość umieszczanych artykułów, piękność dotychczasowych rycin, jako też i o to, aby pojedyncze numera dziennika jak najrychlej szanownych prenumeratorów dochodziły, dla tego uprasza ona aby w razie jakiegokolwiek nieakuratności w tej mierze zgłaszano się wprost do niej opłaconemi listami, a natychmiast temu zapobieży. Prenumerować można w c. k. głównym pocztamcie lwowskim, w redakcii dziennika pod numerem 301 w mieście, oraz we wszystkich pocztamtach na prowincii.